

Wychodzi w każdą
Sobotę.

Cena prenumeracyjna
w całej Austrii:
rocznie 8 złr.—półrocznie
4 złr.—kwartalnie 2 złr.
w Niemczech:
rocznie 5 tal.—półrocznie
2 tal. 15 sgr.—kwartalnie
1 tal. 8 sgr.

we Francyi:
rocznie 21 fr.—półrocznie
11 fr.—kwartalnie 6 fr.
Numer pojedynczy 20 ct.
Redakcyja: Plac
kapitulny Nr. 7.

ŚWIT

Główne agencje: we
Lwowie księgarnia K.
Wilda, w Krakowie
księgarnia J. Wilda, w
Poznaniu księgarnia J. K.
Żupańskiego.

Rękopisy nie przyjęte
do druku zwracają się w ra-
zie zażądania.

Szanownych autorów
i nakładców, życzących so-
bie znaleźć w „Świcie”
wzmiankę lub rozbiór kry-
tyczny swych dzieł pro-
simy o nadślanie Redak-
cyi egzemplarzy takowych.

TYGODNIK NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Treść: Tryumf proletaryuszów, przez A. Mickiewicza z wstępem Agatona Gillera. (C. d.) — Z „Pieśni helleńskich,”
przez Bronisława Zawadzkiego (wiersz). — Kalejdoskop, obrazy czasów i ludzi, przez Berlicza Sasa. (C. d.) — Goethe i Descartes,
studjum przez dr. A. Zgórskiego. (C. d.) — Radziwiłł w gościnie, anegdota dramatyczna w 3 aktach, przez J. I. Kraszewskiego.
(C. d.) — Przegląd literacki. — Korespondencje: z Paryża. — Promyki. — Wiadomości naukowe, literackie i artystyczne.

TRYUMF PROLETARYUSZÓW

przez

Adama Mickiewicza;

podał i wstępem objaśnił

Agaton Giller.

(Ciąg dalszy.)

II.

Do tej pory Francya, pustoszona przez wojnę do-
mową, nie mogła wziąć czynnego udziału w sprawie
konfederacyi europejskiej. *) Konfederacyi jednak nie prze-
stawali żądać od niej pomocy. Twierdzili oni: że Fran-
cuzi winni byli swoje domowe sprawy zależnemi uczynić
od wielkiej kwestyi europejskiej; nie mogą bowiem
spodziewać się trwałego u siebie pokoju przed załatwie-
niem tej kwestyi. Ponieważ szło tu przedewszystkiem
o zadanie ostatniego ciosu staremu porządkowi w Euro-
pie, więc potem dopiero można będzie radzić bezpiecznie
nad konstytucyami narodowemi i sprawami miejscowemi.

I w rzeczy samej posuwając swoje armie ku Elbie
i Tybrowi Francya mogłaby decydować o losach Europy.
Przywódcy atoli rzeczypospolitej, zmęczonej długą wojną
wewnętrzną, słusznie przerażeni strasznymi scenami,
których Niemcy i Francya były teatrem, zagrożeni na-
koniec przez proletaryuszów, nie mieli w rzeczywistości
tej sympatyi dla konfederatów, którą głośno objawiali.
Odpowiadali więc, że nie mogą odważyć się na wnie-
szenie się do spraw wewnętrznych swych sąsiadów, dopóki
nie zapewnią Francyi szczęścia i pokoju.

Proletaryusze zaś ośmieleni powodzeniem i sym-
patyą Europy prowadzili z republikanami wojnę z zacie-
tością. Posłali deputacyę do konfederatów z tem oświad-
czeniem: że zbliża się chwila tryumfu dla proletaryatu
francuskiego, potrzeba tylko jednego wysilenia, żeby
wywrócić stronnictwo wsteczne. Konfederacyi, zamiast
domagać się od tego stronnictwa pomocy, powinni wysłać
część wojska ze swoich licznych armii dla przyspieszenia
zwycięstwa stronnictwa ludowego we Francyi. Zapewni-

wszy tym sposobem jego wygrane, łatwo będzie potem
skierować ku środkowi Europy wszystkie siły Francyi.

Tak więc Francya, która tyle razy stanowiła o losach
obcych ludów, zdawała się być przygotowaną do przyjęcia
dzisiaj ich najścia, które wypadki uczyniły możliwem.

Obie armie francuskie zajmowały ciągle te same
stanowiska, nie ośmielając się uczynić decydującego kroku.
Republikanie mieli 70.000 piechoty, 15.000 jazdy i po-
tężną artylerję. Była to siła więcej niż wystarczająca
przeciw proletaryuszom, których artylerya była prawie
żadna, a których jazda zaledwie wystarczała na obsługę
forpocztów. Prawda, iż piechocie a raczej tłumom prole-
taryuszowskiem, w liczbie 130 lub 140 tysięcy, nie brakło
na męztwie ani na doświadczeniu wojskowem, ale były
one pod złem dowództwem, bez dyscypliny a często i bez
żywności. Jedno wysilenie armii republikańskiej mogło
było zniszczyć ten tłum bezładny, albo go odeprzeć,
oswobodzić Lyon i przywrócić z Szwajcaryą komunikacyę
tak potrzebne dla dostawy żywności. Niestety generałowie
republikańscy, jak wszyscy umiarkowani, nie
mieli dość energii, — objawiali przytem głęboki wstręt
do środków gwałtownych i niszczących, chcieli uniknąć
rozlewu krwi francuskiej i dlatego często parlamentowali
z nieprzyjacielem. Spodziewali się, być może, tymczasem
przekupić kilku przywódców proletaryatu i podsyć ich
nienawiść. Przeciągali więc sprawę w tej jeszcze nadziei,
że brak żywności przyczyni się do zdemoralizowania i roz-
strojenia obozu nieprzyjacielskiego tak lichu zorganizowa-
wanego.

Rzeczywiście, nienawiść wzajemna pomiędzy prole-
taryuszami długo tłumiona przez niebezpieczeństwo,
w jakim zostawali, wybuchła znowu w tym czasie. Żoł-
nierze nieregestrowi, krnąbrni i nieposłuszni grupowali
się według barw więcej lub mniej jaskrawych swoich
opinii. Te grupy uformowały dwie frakcyje gwałtowne
i nieprzyjazne sobie. Stronnictwo najliczniejsze i najsil-

*) W nieznanym ustępie prawdopodobnie była mowa o skonfe-
derowaniu się żywiołów ludowych w Europie przeciw mo-
narchicznemu porządkowi rzeczy. (Przyp. red.)

niejsze było to zawsze owo stare stronnictwo radykalne, reprezentowane przez przywódców, którzy pierwsi podnieśli sztandar proletaryzmu, i przez większość robotników i chłopów, silnych a doświadczonych we wszystkich wojnach za niepodległość. Sekciarze tego stronnictwa wzięli sobie za cel równość majątkową, to jest *lex agraria*. Był to jedyny dogmat ich społecznego *credo*. Nie okazywali się oni przeciwnymi innym reformom radykalnym, ale uparcie utrzymywali, iż należało zacząć od wprowadzenia w życie agrarnego prawa, unikając wszelkich rozpraw, któreby przeszkadzały jego wykonaniu. Gdy równość majątkowa raz będzie wprowadzona, mówili, można będzie potem znieść prawo spadkowe i wprowadzić inne ulepszenia społeczne, któreby postęp uczynił potrzebnymi. Lud, który walczył przez tyle lat, powinien być nareszcie zadowolony jakimś istotnym nabytkiem, choćby tylko dlatego, ażeby go natchnąć ufnością do tych ulepszeń, o których tyle się mówiło, a których nigdy nie spróbowano urzeczywistnić. Zaczniemy tedy od wprowadzenia w życie jedynej reformy, na którą wszyscy się zgadzamy, co nam nie przeszkodzi potem rozłączyć się przy innych szczegółowych kwestiach. Dano temu stronnictwu nazwę realistów, z powodu nienawiści ich do teoryj oderwanych. Zaczęto ich jednak oskarżać o arystokratyczne dążenia, dla dumy z jaką darli się do dowództwa i do kierownictwa nad rozprawami.

Ale opinia uczyniła już nadto znaczny postęp, ażeby zadowolnić się mogła cząstkowymi i powolnymi reformami, przeprowadzanymi według planu realistów. Wszystko co było energiczniejszego i szlachetniejszego uformowało mniejszość silną odwagą a nadewszystko logiką. Zapytywano realistów jakim prawem pozwalali sobie kłaść tamę rozprawom i gwałcić tym sposobem swobodę myśli i rozumowania? Przypominano sobie, że dawni monarchiści i tegocześni republikanie paryscy objawiali równą pogardę dla oderwanych teoryj i też same stawiali przeszkody czasu i potrzeby zachowania legalności. Czyż to proletaryatowi wypada naśladować taktykę stronnictwa wstecznego? Przed rozpoczęciem reformy społecznej czyż nie jest potrzebnem, czyż nie jest główną rzeczą nakreślenie planu i rozebranie wszystkich jego szczegółów? Wiele razy już próbowano przeprowadzić owe powolne bękarcie reformy, ale nigdy się one nie udały. Ażeby zbudować gmach społeczny, potrzeba jasno wyrazić ideę wieku, potrzeba sformułować wyznanie społeczne.

Według tych ogólnych zarysów zaproponowano wiele ulepszeń natychmiastowych i koniecznych. Chciano zacząć od zniesienia nazwy proletaryuszów. To miano lepsze zapewne od tytułu obywatela, nie odpowiadało już potrzebom czasu, nie wyrażało żadnej myśli postępowej i miało w sobie coś rzymskiego, pedanckiego, a przytem

nie było dobrze rozumianem za granicą. Długo rozprawiano więc nad nazwiskiem, przez które chciano dawne miano zastąpić i postanowiono nie brać żadnego. Patryoci mieli się zwać po prostu ludźmi, mianem ogólnem, a ci, którzyby go nie chcieli przyjąć, mieli być słusznie ścigani, jako nieprzyjaciele ludzkości.

Proletaryusze nosili jeszcze do owego czasu imiona rodzinne. Ten barbarzyński zwyczaj pochodził z czasów feudalnych, kiedy wyrażał posiadanie ziemi. Było więc rzeczą nagłą zmienić go, aby ułatwić tym sposobem zniesienie dziedziczności. Imiona otrzymane na chrzcie stały się zbyt czułym i śmiesznym po zniesieniu chrześcijaństwa. Ale jeszcze jeden i to najważniejszy wzgląd wymagał ich zniesienia. Imię uświęcone przez zwyczaj lub przez odkrycia naukowe, przechodząc z ust do ust, staje się zwykle w końcu rodzajem sztandaru; człowiek, który jest jego właścicielem, nawet po dokonanych błędach lub zbrodni, wywiera długo jeszcze pewien wpływ uzurpowany, a niebezpieczny dla równości. W imieniu jest zawsze coś osobistego i samoistnego. Zaproponowano więc zastąpienie imion liczbami, które nie wyrażają i łatwo mogą być zmienione. Tym sposobem Francya, podzielona na 10 seryj zamknęłaby w każdej seryi pewną liczbę obywateli. Pierwszy urzędnik pierwszej seryi byłby oznaczony liczbą 1, jego podwładni liczbami 2, 3 i t. d. Prości obywatele nie mieliby wykładnika. Liczba dawałaby się według numeru aktu urodzenia, a wykładnik według stopni w hierarchii cywilnej albo wojskowej.

Generał albo urzędnik usunięty, tracąc swój wykładnik, znikalby z pamięci ludzi i byłby pomieszczony między prostymi numerami swej seryi. Taki system zadłby ostateczny cios miłości własnej, osobistej i indywidualizmowi.

Generał Jakób, wielki myśliciel i znakomity mówca (oddawna już był się wyrzekł swego rodzinnego nazwiska), przyczynił się najwięcej do wprowadzenia w życie tej wielkiej reformy i on to pierwszy poświęcił swoje chrześcijańskie imię, wślawione tylu bitwami. Przyjął Nr. 1., a jego zwolennicy uformowali się natychmiast w serye i znaczyli się według stopni wojskowych.

Nieszczęściem wielka część proletaryuszów, trwając w dawnych swoich przesądach, odrzuciła to ulepszenie. Powstało więc rozdwojenie w obozie. Przyszło nawet wiele razy do bójk. Prześladowano się nawzajem i armia zupełnie rozstrojona blizką była rozsypania.

W takim to stanie rzeczy, oba stronnictwa proletaryuszów, zbyt słabe żeby zwalczyć republikanów, wysłały deputacje do konfederatów europejskich z żądaniem posiłków.

Wielkie wypadki, które miały miejsce w Niemczech, pozwoliły nareszcie rewolucjonistom europejskim zająć się sprawami Francyi.

(D. n.)

Z „PIEŚNI HELLEŃSKICH,”

przez

BRONISŁAWA ZAWADZKIEGO.

Do cieniów Grecyi.

(W S T Ę P.)

O! moja wdzięczna ludów wybranko
Z dziewiczym braskiem na czole,
Któraś w mitycznym dziejach poranku
Piękności siała już rolę,

Odchyl ten wieków granit mogilny,
Powstań i bądź nieśmiertelna,
Niech duch twój wiecznie młody i silny
Odbierze cześć niepodzielną.

Wszak my za tobą ginie z tęsknoty
Poeci bez ideału,
I pomarniały nasze poloty,
Gdy cię na ziemi nie stało.

A więc się podnieś w gwiazd dyademie
Ponad stuleci cmentarze
I wywiedź nowe ludzkości plemię,
Co pięknu wzniesie ołtarze.

Niech każdy wierzy, jak w swą kochankę,
W piękności kształt idealny,
Niech w niej ogląda niebios wstęgę
I ducha symbol widzialny.

Niech każdy rośnie w życiu poetą
W ciepłej harmonii z naturą,
Niechaj mu spływa natchnień podnieta
I rozpacz spędzi ponurą.

Bo kłamię, Greco, ci wszyscy moi,
Po lutni bracia bolesni,
Którzy przez wieki o śmierci twojej
Śpiewali żałobne pieśni.

Ja cię piorunem wzywam zaklęciem,
Wszak powiedz, że bluźnią tobie,
Żeś ty jest wiecznej myśli poczęciem
I nigdy nie spocznieś w grobie.

Tyś przedhelleńską ludzkość bez marzeń
Poezyą opromieniła
I byłeś wielkich piastunka zdarzeń,
Których nie zamknie mogiła.

Więc już bez końca w duchu ludzkości
Jak on Prometej, ty żyjesz,
Tylko dziewiczej pełna skromności
W sennym letargu się kryjesz.

Lecz ja cię blagam, obudź się cieniu
Z pomroku omdleń duchowych,

Spojrzyj na ludzkość w sztuki odzieniu
I w czynach Leonidowych.

Powtórz nam dzieje twe wielkoludne
I każ znów kować rzeźbiarom
Greckie posagi nagością cudną
Z powabną niebianek twarzą.

Wróć nam fantazyi twojej płomienie
Pogodne i bżnamietne,
Niech jońskich kolumn klasyczne cienie
Swe formy rzuca ponętne.

Niech po gościńcach głuchych rozbrzmieje
Chorówód ślepych lirników,
Z rapsodów wiążąc znów epopeję
Ku głośniejszej czczy śmiertelników.

Wioń w nasze gaje osamotnione
Nimf pływająca drużyną,
Na łożu z modrych fal uścielone
Niech ciała Nereid spłyną.

Splataj dębowe tryumfu wieńce
I odsłoń pamiętny światu
Twej akademii jasne dziedzińce,
Gdzie o ideach sni Plato.

O! moja piękna, powróć raz jeszcze
Na świat jutrzeńską różaną
I odmłodź nasze zapęły wieszcze
Fantazyą z prawdy czerpaną.

K A L E J D O S K O P

obrazy czasów i ludzi

przez

BERLICZA SASA.

(Ciąg dalszy.)

II.

Wyjazd z *Luliniec*. — Scena pożegnalna. — Ugoszczenie ludu. — Przesłuchanie Ukrainy. — Świat i dusza. — Indyja. — *Rundżed Sing*. — *Courbevoje*. — Upadek złudzeń. — *Humani*. — *Zofiówka*. — Teatr. — Wyjazd z *Humania*. — Step. — Czumaki. — Lwy symboliczne. — *Sewerynowka*. — Limany. — Odessa.

W ciągu tych dni kilku, poświęconych przyborom do podróży, dom nasz podobny był do ula, w którymby ktoś, przez swawolę, pszczołom szyki pomieszał. Od rana do wieczora, tumult, chaos, bieganie... Ładowano wozy alimentarnym zapasem dla ludzi i koni; windowano kufry, walizy, tłómoki do furgonów; napychano sakwy, i kieszenie ogromnej landary z niebotycznym kozłem, zakaską podręczną, napełnioną i przysmakami; panny służące uganiały się na wyścigi, z pudełkami, koszykami, woreczkami, Bóg wie czem i na co, napełnionymi; wszystkie drzwi były na oścież — wszystkie wyjścia domu otwarte na cztery wiatry — i wszędzie ktoś biegł, dźwigał, lub ciągnął i hałasował.

Nadszedł na koniec dzień wyjazdu. Zgromadziliśmy się w kaplicy, gdzie wysłuchawszy pobożnie mszy świętej, odśpiewaliśmy naprzód suplikacje a potem: Przed oczyma Twoje Panie! Ponieważ wewnątrz kaplicy było za ciasne dla takiej ilości służby dworskiej i gościnnej, utworzył się tedy chór zewnętrzny, którego mocne płucowe zadęcia, nie zawsze wierne wokalne eufonii, rozlegały się daleko, aż do ostatnich krańców osady. Po koronem ucałowaniu patyny dopełniliśmy adoracji naszej u stóp ołtarza i wróciliśmy na pokoje, gdzie się rozpoczął akt solenny pożegnania z gośćmi i domownikami. Oficyanci różnych wydziałów zgromadzili się w sali. Za nimi stanęli szeregiem służby, ogrodnicy, kucharze, sta-

jenni, kozacy rozsylni. Kobiety nawet i dziewczęta od krów, drobiu i piekarni pospieszyły także pożegnać swoją dobrą panią. Dla wszystkich znalazła babka moja przychylne słowo, zachętę, radę, lub dziękczynne uznanie. Wszystkich poleciła gorliwie opiece rządcy swego, dostojnego Łowczego Leżeńskiego — zwłaszcza sług starych, wdów, sierót i chorych, na pierwszym u niej zostających względnie. Łez wdzięczności, przywiązania i żalu po odjeżdżającej było tam nie mało — błogosławieństw bez liku! — a wszystko to szczere, sercowe, nieobłudne, bo dobrodziejstwem i miłością wywołane! Po tej rzewnej scenie nastąpiła inna. Cała luliniecka gromada ze starszymi swymi i z popem na czele stanęła przed ganikiem. Lud był w świetach świątecznych; pop miał epitrachil *) na sobie i krzyż srebrny w ręku. Gdy pani starościna ucałowała krzyż święty, pop, staruszek z siwą brodą, pobłogosławił jej na drogę i rzekł po polsku:

— Za twe cnoty, Pani! Bóg ciebie nie opuści. Jedź w zdrowiu i szczęściu dokąd jechać zamierzyłaś — a my wszyscy modlić się będziemy codziennie, żebyś do nas prędko, w zdrowiu i szczęściu powróciła!

Potem wyszedł najstarszy z gromady, gospodarz zasobny i poważny we wsi, a przytem garncarz słynny w okolicy, Sawa Rozumniak. Zdjął swoją baranią czapkę, wetknął ją sobie pod pachę i rzekł kłaniając się nisko:

— Myłostywa Pani! — Ne pokydaś nas na dowho! — Wertajsia chutko! — My dity twoi — Ty maty nasza — Jakże budemo żyty bez tebe?

*) Stula.

Ledwie skończył, posunęły się hurmem ku pani starościnnie baby wiejskie, małodcy z niemowlętami, dziewczki, roje drobiazgu plebejskiego, żeby ucałować jej nogi, ręce, szaty i wynurzyć uczucia swoje, to słowem, to łzą, to gestem, lub wreszcie milczeniem wymownem, bo pełnem tkliwego wzruszenia. Dzwony cerkiewne biją tymczasem żałośnie, jakby dzielając żal ogólny—a pani Starościna z tklwym uśmiechem na ustach i ze łzą rozrzewnienia w oku odpowiada sercowie na te kosztowne przejawy serca swego ludu; krąży pomiędzy ludem swoim gdyby macierz pomiędzy dziećmi swemi; większym zaszczytając względem starych gospodarzy i stare matrony siola, dziękując im za przychyłność, wzywając onej i nadal, w końcu żegnając ich i polecając Bogu z całem wylaniem opiekuńczej miłości, wiecznie płynącej dobroczynnym źródłem na liczne poddaństwo, którego panią była. Na skinienie Łowczego Leżeńskiego, który stojąc na stronie zatabaczonej chustką pocziwe swe oczy ocierał, wytoczono z piwnicy 3 kufy miodu, wiszniaka i okowity. Przyniesiono także stopy chleba, faski sera, bryndzy, masła i rozpoczął się traktament. Lokaje roznosili jadło w koszach. Officyanci dworscy roznosili napoje w dzbankach. Niemogąc znieść sama odoru trunku, pani Starościna kazała mnie wychylić małeńki kieliszek miodu za zdrowie gromady. Bud'te zdrowy dobry lude! krzyknąłem spełniając ochotnie wolę czcigodnej opiekunki swojej i w tejże chwili zawrzało w tłumie i pchnął się ku mnie cały nawał ludu, porywem sercowym zagrzany i posypały się dziękczynne wołania i porwano mnie na ręce i noszono kolejno otulając ciasnem objęciem przychyłności, z której byłem szczęśliwy, z której byłem dumny, choć nie jam na nią zasłużył—nie ja! a święta niewiasta, której całe życie nie było niczem innem, jeno posłannictwem cnoty, miłości i poświęcenia.

Czytelniku! Jeżeliś twardy samolub, nie uznasz całej doniosłości tej sceny, którą jako najdroższy klejnot przeszłości mojej z błogiem wzruszeniem opisałem. Jeżeliś człek dobry, czego z całej duszy pragnę, nie weźmiesz mi zapewne za złe, żem roztoczył przed oczyma twemi obraz moralny wysokiej treści i wysokiego znaczenia. Na tle dzisiejszego społeczeństwa nie się już niestety takiego nie przedstawi! Nie takiego kronikarz obecnej epoki potomnym nie przekaże. Niewiele i wtedy było przykładów takich — dzisiaj niema ich wcale i być nie może!

Dzień się już przechylił za południe, kiedyśmy z Luliniec wyruszyli. Wozy, bryki i furgony wyszły wrzód pod dozorem koniuszego Tarnowskiego. W nich żeńska i męzka służba pani Starościny pojechała. W naszej landarze, przez sześć rosłych bucefałów ciągnionej, jechałem ja z moją babką, mając vis-à-vis pannę Zofią Kapczyńską, prześliczną istotę, pupillę lulinieckiego domu, oraz pannę Elizę Schmidt, ową pocziwą Lizusie z mego pamiętnika „Pani Starościna Horodelska.“ Wślad za nami jechała w podobnie landarze ciotka moja, marszałkowa Sarnecka, z dziatwą i guwernantką, baronówną de Maubeuge, córką emigranta pierwszej rewolucyi, o którym będzie niżej. Trzeci powóz transportował panią marszałkową Opacką z córeczkami, które uczyła trzepać po francuzku wesoła Szwajcarka z Neufchatel'u panna Cathinka Prince. Dwa koczki zamykały naszą karawanę. W jednym wiozł mąż mojej ciotki marszałek Sarnecki mego nauczyciela Gusseka — w drugim jechał pan Tadeusz Sarnecki, marszałek kamieniecki, dziedzic głośnych na Podolu Czarnokoziniec, gdzie kopią gips i piękny wydobywają alabaster. Liczną tedy kompanią

wpłynęliśmy na jasne Ukrainy przestworza. Nie były to jeszcze stopy, które się dopiero za Humanem zaczynały coraz surowszym i dzikszym piętując się charakterem; lecz były to płaszczyzny bez granic, to zielone i falące się jak morze, to wielobarwnie kwieciste jak ogrodowe łąki; gdzieniegdzie wkleśłe dolina, wydętne pagórkami, nacętkowane ciemnymi ostępami gajów, kniei, zarośli; powabnie malownicze, poetycznie piękne a miłe oku i sercu, bo swoje, gniazdowe, przyjacielskie, poufne; w błękitach rodzinnego eteru zatopione, w promieniach ojczywego słońca rozkwitłe, pieśnią swojską brzmiące, domową pamiątką uroczę! Ja nie podzielałem rozmowy toczącej się w naszym powozie, nie słuchałem jej nawet, bo mnie zewnętrzne obrazy więcej zajmowały. Do samego Humania sterczałem ciągle w oknie, rzucając oczy me tu i owdzie—i wyrazić nie zdołam, jaka mi żądza dręczyła dosięgać wiatronogiego konia i ulecieć na nim w głąb obszarów, po zdobyczu tej nieokreślonej swobody bytu, której pragnienie przyniosłem z sobą na świat, a której nigdy urzeczywistnić nie potrafiłem. Przecież była ona dla mnie wrodzoną potrzebą, była nawet może wskazówką czegoś—dobrego? czy złego? nie wiem—ale to pewna, że czegoś nie gminnego a wyłączonego, co by się mogło przy pomocy okoliczności rozwinąć niepospolitym rezultatem moralnym, czy to na polu nauki (która mnie zawiodła!), czyli poezyi, której przytomność czuję w duszy, chociaż jej wyrazić, wylać z siebie w formie harmonijnej nie umiem. Istniejąc życiem światowem, nie lubiłem ja nigdy świata. Formy konwencyonalne krępujące stosunki jego były zawsze nieznosnym dla mnie ciężarem. Same te stosunki nawet mało miały powabu, bo męty zalegały serca, a dusze nie odzywały się do mnie tonem mojej duszy. Ztąd pochodzi, że nie dobiegałem się żadnej oficjalnej kariery, materyalnemi korzyściami gardziłem, o gminne aplauzy nie dbałem, faworu wielkich tej ziemi nie szukałem. Dążyłem do czegoś takiego, czego chłodna proza naszego społecznego ustroju nie daje. Chciałem albo głębokiej samotności, niedostępnej głupiemu despotyzmowi naszych socyalnych instytucyj, albo wrzawy, zamętu, walki, czegoś takiego jednym słowem, co by jestestwu memu hart nadało nowy i nowymi życie popchnęło tory. Pod wpływem takiego usposobienia zdecydowałem się być na krok, w którym widziałem jedyny środek zaspokojenia ekscentrycznych pragnień niezależnej natury mojej. Wiedziałem, że Rundzed-Sing, król Lahoru, potrzebował ludzi znających sztukę wojenną, w przewidzeniu nacisku Anglii sięgającej po żądliwie po jego koronę. Wiedziałem także i to, że jenerałowie Allard, Ventura, Court i Avitabile byli organizatorami jego armii, i że dwaj pierwsi wielkie u niego mieli zachowanie. Traf zrządził, że będąc w r. 1837 w Odessie poznałem tam niejakiego Courbevoye, uczonego Francuza z Tulonu, który się puszczał do Indyi w calu eksplorowania Flory Pindżabu, a także Fauny i Sylwy brzegowego pasma Indusu. Miał listy z Paryża do jenerała Allard'a. Nie mogłem żądać pomyślniejszej okazji dla przesłania doń mego memoriału, Co urbevoye pojechał z nim do Indyi, a ja wróciłem na Ukrainę. W połowie 1838 r. otrzymałem od niego list z Lahoru, z szczegółową relacją faktów unicestwiających awanturnicze nadzieje moje. Rundzed-Sing już nie żył. Allard opuścił Pindżab i krwawa rewolucya potraszała krajem. Na niczem tedy speliły zamiary moje, których nieloiczność sam pierwszy potępiał, lecz których całą winę składał na to coś niepojęte, przeważnie duszą moją władające ze szkodą jej doczesnego pokoju wiecznie zmaconego żądzą tego, co byłoby wielkiem i świetnem, gdyby było możebnem.

W Humanii spędziliśmy parę dni. Zdrowie babki mojej wymagało tej przerwy wojażu. Wszyscy, oprócz niej, pospieszyliśmy odwiedzić Zofiówkę, nieznaną mi jeszcze. Wyrazić nie zdołałem wrażenia, jakie na mnie wywarła. Nigdy dotąd nie widziałem takiego ogrodu, coś dziwnego żem się nim zachwycił? Grzeczny właściciel Humania, Aleksander Potocki, kazał puścić wody. Runęła ze skały pienista kaskada. Opadła kryształowa szyba zwierciadła Dyany. Strzeliła powiewnie fontanna jeziora. Ożywiły się strumienie i zawrzały wód gwałtownym naporem kamienne cieśnie i progi. Niby

duch życiodajny, wzbił się nad tym ogrodem Armidy, gwar przeciągły tych wszystkich prądów, wytrysków szmerzących, którym odpowiadały szelesty gajów, owianych technieniem zefirów przelotnych. Panna Prince zaśpiewała sławne szwajcarskie ranz des vaches u wnijścia głębokiej groty nocą zalanej i milczeniem. Na tysiączne bryzgi i atomy rozbił się jej głos, czczością cieśni i załomów jaskini pochłonięty i echa jakieś szydercze w niezbadanej głębi ukryte przedrzeźniały spiewacze bezładnem powtarzaniem jej ulubionego motywu.

(C. d. n.)

Goethe i Descartes.

Studyum

przez

Dr. ALFREDA ZGÓRSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Goethe, jak wiadomo, pracował od zarania swego poetycznego żywota aż po jego koniec nad nieśmiertelnym swoim Faustem. W „Rozmowach z Eckermannem” przyznaje się Goethe, iż wcale nie myślał we Fauscie jed olitej przedstawie myśli. Chciał on jedynie na tle podania o średniowiecznym czarnoksiężniku, któreby, jak nie czerwona przebiegała kanwę poematu, osnuć wszystkie silne, różnorodne i do głębi przejmujące wrażenia, których mu jego życie dostarczyło. Ale to właśnie najważniejszą stanowi rękojmię, że Faust jest prawdziwym swego czasu odzwierciedleniem. Idee w nim zawarte nie są sztucznym wtłoczeniem dostrzeganych faktów w system z góry już ułożony — ale i owszem całość myśli wylaniającej się z Fausta jest doskonałym zestawieniem drogą indukcji objawów wydobytych z życia narodu, z życia — wszystkie pojęcia i uczucia narodu w sobie skupiającej duszy — Goethego. W „Dichtung und Wahrheit” rzuca Goethe niejedno światło na ówczesny stan nauki w Niemczech. Już to zaufania budzić on nie mógł. Nauka była abstrakcją bez żywotności, bez łącznika z życiem; porzucawszy zakony duchowne stała się monopolem świeckich zakonów, jakbyim nazwał ówczesne wszechnice i powagi naukowe. Jeżeli więc w czasach odrodzenia i reformacji usiłowano oswobodzić naukę z pod przewagi i formalizmu duchowieństwa, to teraz jawi się wybitna dążność do uwolnienia jej z pod monopolu kastowego uczonych i jeżeli w wieku XVI dążono, aby naukę uczynić przystępną i kołom świeckim, to teraz usiłowano ją rozszerzyć w masach narodów. Taką jest przyczyna encyklopedyzmu francuzkiego, taką kolebka niemieckich iluminatów i taki początek t. z. filozofów dla świata (*Philosophen für die Welt*). Nowa ta dążność umysłów w walce ze starym porządkiem nauki obalała wszystko, co jej było wrogiem; wraz z nauką tępiła wiarę... Sama zaś nazbyt mało przynosiła treści pozytywnej, a cała jej filozoficzna dyalektyka tyle w sobie miała jeszcze hipotez, iż nie mogła dać umysłom spokoju duchowego, pewności naukowej, wiary w swe nieokreślone jeszcze zdobycze... Skeptycyzm zaległ wszystkie ognistsze umysły tego czasu. Goethe sam przeżył okres takiego skeptycyzmu — mamy na poparcie słów naszych jego własne zwierzenia. Goethe widział go jednak i na zewnątrz siebie, na ustach każdego, miał więc prawo nadać mu ogólne, przedmiotowe znaczenie, piętno ogólnoludzkiego zjawiska. W wieku XVIII zresztą, w którym filozoficzna abstrakcyjność utraciła mir i powagę, a ludzkość skierowała cały wzrok swój ku badaniu rzetelnej prawdy życia, w którym, jak to z wielkiej liczby ówczesnych autobiografii widzimy, nikt nie pragnął jakichś oderwanych metafizycznych wyników ba-

dania, ale w życiu, w ludzkim wnętrzu jednostki dopatrywał się prawd niezaprzeczonych, w takim wieku nie dziw, że prawdziwy wieszcz narodu tem śmieiej wynurza wnętrze własnej duszy, opowiada jego dzieje i w niem odwiecznych szukać każe prawd ducha. Homera, Shakespeara w ich tworach nie widać — Goethego napotykamy w każdym jego wierszu. Nie jest to jednak właściwością Goethego — jest to właściwością wieku dostrzegana w tym samym stopniu u innych poetów, artystów i wybitnych umysłów tego czasu. Goethe tedy grzebiąc w skeptycznem swem wnętrzu znalazł tylko jedną prawdę — wyznanie, jakie podobny do wieku XVIII po Chr. wiek V przed Chr., wiek Sofistów ateńskich, wywołał na usta Sokratesa:

Und ich sehe, dass wir nichts wissen können!

Oto jedyna prawda, którą dusza Goethego, którą sumienie europejskie XVIIIgo wieku po Chr. jak sumienie Aten Vgo wieku przed Chr. postawić może! W tym wyniku leży założenie skeptycyzmu Faustowskiego. Ale przeciw czemuż ma on się zwrócić? Naturalnie, że przeciw źródłu, z którego wytrysnął... Sławne wyrazy:

Habe nun, ach! Philosophie

Juristerei und Medizin

Und leider auch Theologie

Durchaus studirt, mit heissem Bemühen!

rozpoczynają ów posępny monolog Fausta, który dla dokładniejszego zrozumienia koniecznien porównać należy z rozmową Mefistofela z uczniem. Pierwsze te słowa wskazują dowodnie, że źródłem skeptycyzmu Fausta, źródłem tego tragicznego przekonania, że nie wie, jest ówczesny stan nauk; bo on przykładał się do nich z całym zapalem, przebył całą rozległą sferę myśli, szukając bezwzględnej prawdy jako ideału badania, a jednak w ostatnim wyniku swych wysiłków metafizycznych nie znalazł nic więcej nad owo rozpaczliwe: nic nie wiem... Więc to kres nauki?... Niemilosierdzie też skeptycyzm Faustowski zgruchotał jej podwaliny.

Rozbierając filozoficzną myśl tego skeptycyzmu, nie mogą kierować się porządkiem scen dramatu, ale muszę pójść śladem filozoficznej łączności pojedynczych myśli. Czytelnik pozajomiony z dramatem bez wskazówek domysli się, w których jego ustępach poparcia pojedynczych zdań szukać należy.

I tak przedewszystkiem ostremu sądowi poddaje Goethe metodę ówczesnie w umiejętnościach pielęgnowaną: nie w żywej przyrodzie, nie w rzeczywistości, nie w żywych sercach ludzi szukać źródeł poznania, ale we foliantach scholastyceizmu, przekazywanych przez wiek wiekowi... Czyż nauka odosobniona od gry świata, zamknięta w ciemnej izbie uczonego, w przypruszonych pyłem stuleci

spoczywająca w księgach, w niedokładnych wreszcie i dziwnych narzędziach mechanicznych, czyż nauka taka może być źródłem prawdy, tłumaczem świata? Czy nie znając z bezpośredniego patrzenia przyrody, ludzi, ich natury i serca, możemy szczerze powiedzieć, że prawdziwie się na nie zapatrujemy? Czyż można ufać, aby uczony po za ruchem świata stojący wydał o nim sąd przedmiotowy? czyż sąd takiego uczonego nie będzie raczej wynalazkiem jego, a nie odbłyskiem rzeczywistości, wytłumaczeniem bytu? czyliż to, co za istotę wszech rzeczy podaje, a czego się nie dotknął bezpośrednio ani okiem ani myślą, nie jest tylko obrazem duszy myśliciela, który w świat ten chciałby się przelać? Czyż cała nauka nie staje się zabawką na własnych osnutą pomysłach — czyż nie idzie uczonym więcej o słowa niż o treść?

Nie dziw więc, że Goethe taką pozawaszy metodę nauki, traci w nią wiarę — żadnej nie ufając jej gałęzi. Historia z pergaminów jedynie wysnuta nie mogła odpowiadać jej właściwej treści, a co duchem zwano historii, tak mało było jej duchem, że raczej uważać to należało za dodatkowy, niezręczny utwór wrzekomych dziejopisarzy. Oni nie kierowali się myślą historii, ale własną w historyczne ubrali kształty. Przyrodznawcy nie badali rzeczywistej przyrody, nie byli otoczeni jej drgającymi pełnią życia zjawiskami; z trupów i szkieletów w retortach i stojach własną kleili sobie przyrodę i ją tylko poznali, ale nie tę, która żyje od wieków oświecona pełnem światłem słońca, a nie przyćmionym płomykiem kopającej lampy. Czyż ten świat uczonych jest światem rzeczywistym, jest jakimkolwiek światem?

Das ist deine Welt! das heisst eine Welt!

I taka nauka przyrody miała być podstawą poznania, miała ludziom przynieść pożytek? Czyż można ją zastosować w życiu praktycznem np. w medycynie? Te długie recepty jednoczące największe ze sobą sprzeczności mająż wlewać zdrowie chorym? Któż policzy ofiary, które stały się ich pastwą? Wszakże te kombinacye dziwaczne leków, stworzonych w tajemniczem laboratorium, nie opierają się na zbadaniu potrzeb ludzkiego ciała, ale na wymyśle pseudo-uczonej wyobraźni... Wszystkie te uwagi nasunęły się wówczas Goethemu.

Nie znając tedy prawdziwej przyrody, nie poznawszy w historii rzeczywistego jej ducha, nie podobna było

zbadać tym „badaczom“ właściwych tajników duszy i serca ludzkiego. Formalizm tu panował wszechwładnie, a powaga uczonych rozstrzygała każdy spór naukowy, nie zaś przekonanie powszechne, chociaż najbardziej bystre i uzasadnione. Anatomizują oni ducha, zabiwszy go poprzednio. Świat nauki tej nie rozumie, a żądają by w nią wierzył! Ma ona oświecać umysły, a rodzi taki zamęt pojęć, że co było dawniej wytłumaczonem, staje się zagadką.

Wszystko zatem, co nauka z tego świata w swe ramiona uchwycić zdoła, wszystko to Faustowi wydaje się spaczonem. Ponieważ zaś duch ludzki dążąc ku wyżynom bezwzględnej, pozaświatowej prawdy, musi oprzeć się poprzednio na gruncie empirycznego poznania tego świata i na zbadaniu jego zjawisk budować dopiero gmach metafizyczny, przeto i metafizyka ówczesna, ułtniona w dziedzinę marzeń bez prawdy i spekulacji bez podstaw, nie mogła zadowolić głębszych umysłów. Metafizyka szczególnie niemiecka ze szkoły Leibniza i Wolffa wysnuta z myśli podmiotu oderwanego od rzeczywistości, zamkniętego jedynie w sobie, musiała stać się dogmatyczną, jednostronną. Metafizyka taka mogła mieć jedynie wartość podmiotową, prawdę względną; dla innych umysłów, wzrosłych pośród innych warunków bytu, inaczej myślących i czujących musiała być mową niezrozumiałą, grą słów napuszystych a pełnych częściej sofistyki, które do ich wnętrza nie wsiąkały i depopularyzowały u ogółu naukę zwaną słusznie wszechwiedzą, *die Wissenschaft der Wissenschaften*...

Nie lepiej przyczyniła się ówczesna metoda naukowa do zrozumienia i wytłumaczenia ducha praw. Wśród pedantyzmu uczonych nie zbywało wprawdzie na usiłowania wprowadzenia tu metody historycznej, badającej prawo w jego stopniowym rozwoju, a więc mającej zakrój empiryczny, ale odziedziczywszy po wiekach średnich bogaty zasób przesądów, stłumiono poczucie prawa naturalnego, wrodzonego i poświęcono go całkowicie wszechwładzy prawa kodeksów. A czyż mogła taka wyłączność zadowolić umysł Fausta, umysł Goethego — umysł XVIII wieku?... A tak od najdelikatniejszych listków aż do pnia i korony wszystko było dla Fausta w sferze myśli zbudowane, wszystko blichтром, ciemnością, którą on jednym genialnym błyskiem ducha rozprószył. (C. d. n.)

RADZIWIŁŁ W GOŚCINIE

anegdota dramatyczna w 3. aktach

przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Scena III.

BASIA, DYPLOWICZ (*w kacie*).

(*Przez drzwi od podwórza wpada w ubiorze podróżnym Szczuka.*)

SZCZUKA. (*Spostrzegłszy Basię staje jak wryty.*) O Boże! co ja widzę! panna Barbara tu! jakimże wypadkiem?

BASIA. Pan Józef? To może Pan Bóg zosłał was na ratunek (*przypatruje mu się i poznaje barwę Radziwiłłowską na mundurze*). Ale cóż to te kolory znaczą?

SZCZUKA. Należę do dworu Księcia Wojewody.

BASIA. Nowe nieszczęście... Jak ojciec mój zobaczy was w tej barwie — on co i tak był wam przeciwny... wszystko zgubione...

SZCZUKA. Najdroższa Panno Barbaro...

BASIA. Ojciec...

SZCZUKA. Gdzie jest?

BASIA. Tu, w tej chwili nadejść może. Co pocznemy?... wszystko stracone, gdy was zobaczy... Jak można było przywdziać tę barwę?

SZCZUKA. Mógłbym przewidzieć, iż ona będzie niemiłą Chorążemu, jam się łudził przeciwnie, iż się powagą Księcia podtrzymam i los mój poprawię.

BASIA. Ojciec go nienawidzi...

SZCZUKA. (*Łamiąc ręce*) Nieszczęśliwe przeznaczenie moje...

BASIA. Uchodź pan, nim przyjdzie.

SZCZUKA. Nie mogę, jestem przodem wysłany tu, by czekać na Księcia. Wojewoda będzie za chwilę. Zaklinam panią, niech się uspokoi... Ja potrafię wszystko zwyciężyć — ja umrę, lub ty moją być musisz...

(*Słychać wrzawę w alkierzu. Basia się cofa ku drzwiom, udając, że nie postrzegła Szczuki.*)

SZCZUKA. Gospodarz! Szmul? Gdzie Szmul?

Scena IV.

CIŻ i SZMUL (*wpada, a za nim tuż*) CHORAŻY.

SZMUL. Sługa pana koniuszego! co pan każe?

SZCZUKA (*niby nie widząc Chorażego*). Książę Wojewoda nadjeżdża za kilka minut... chce tu odpocząć, konie zmachane! siana i owsa dla dworu, żeby było co zjeść...

CHORAŻY (*który wszedł niosąc misę z sobą, popatrzył na Szczukę, siada za stół — i zaczyna jeść*).

SZMUL. Wszystko jest — to jest wszystko było... (*ręką pokazuje po cichu Chorażego*.)

SZCZUKA. A izba wolna dla Księcia?

SZMUL (*pokazuje ciagle Chorażego*). Izba... była... fein... czysto... spokojnie... pachnąco... ale... won... zajechał... i...

CHORAŻY. Co ty tam gadasz?

SZMUL. Niczego, niczego. (*rusza ramionami i oczyma pokazuje Chorażego*.)

SZCZUKA. (*zachodzi z przodu i kłania się*) Czołem panu Chorażemu!...

CHORAŻY. Czołem? he? A! to waszeć panie Szczuka. Ledwie poznał... Cóż to to? przebrałeś mi się jakoś... w liberya... bardzo do twarzy?...

SZCZUKA. To mundur przyjacielski...

CHORAŻY. Piękny, nie ma co mówić! (*do Basi*) idź waćpanna na górę! idź! proszę! nie ma tu co robić dla acanny! (*Basia błagając spogląda na Szczukę i wysiada się*.)

SZCZUKA. Poprzedzam Księcia wojewodę jako pełniący obowiązki Koniuszego.

CHORAŻY. To nie przy psiarni jegomość! proszę!

SZCZUKA. Panie Choraży...

CHORAŻY. Winszuję! jest przecie koronny, musi być i Radziwiłłowski Koniuszy. Winszuję.

SZCZUKA. Poprzedzam Księcia... tylko, co go nie widać.

CHORAŻY. Chciałbym, żeby go było widać — ciekawym...

SZCZUKA. Książę lubi być sam na popasach.

CHORAŻY. I ja lubię być sam na popasach... a jednak śmierdzącego Dypłowicza znoszę (*pokazuje nań ręką*).

DYPLOWICZ. (*z kąta*) Panie Choraży... stopki całuję.

SZCZUKA. Pan Choraży tu już dawno popasa?

CHORAŻY. A wy tu długo popasać myślicie? (*je ciagle z misy*.)

SZCZUKA. Jak pan nie łaskaw na mnie! czym zasłużył?

CHORAŻY. A wam na co moja łaska, wszak macie łaskę księcia. Na dwóch łaskach, jak na dwóch stołkach, siedzieć nie dobrze.

SZCZUKA. Cóżem ja zawinił?

CHORAŻY. Dalipan nie—tylko ani znajomości ani konfidencji ze mną i z panną Barbarą nie życzę sobie. Do kroćset basałyków... Jeszcza z tą liberyą!

SZCZUKA. Cóżem zawinił?

CHORAŻY. Do kroć sto basałyków, nie, mówię nie. Daj mi święty pokój, a nie kręć się tam, gdzie my jesteśmy, bo ja szablą muchy spędzam...

SZCZUKA. (*łagodnie*) Panie Choraży! Ja wszystko zniosę od pana... pan wie dla czego...

CHORAŻY. Wiedzieć nie chce.

SZCZUKA. Raczcie posłuchać.

CHORAŻY. Słuchać nie chce.

SZCZUKA. Książę Wojewoda nadjedzie, panowie z sobą źle od dawna, on gorączka...

CHORAŻY. A ja jestem febra i z gorączką... Gdyby Lucyfer z Belzebubem mieli zajechać, nie ustąpię. Słyszysz? Dajże mi jeść spokojnie i wara z nosem w to co ja robię się wścibiać. (*Basia wygląda z alkierza dając znaki Szczuce*.)

SZCZUKA. Zaklinam pana Chorażego.

SZMUL. Już ja jemu kłamię — i nie pomogło... (*trzęsie głową smutnie*.)

SZCZUKA. (*cicho*) Chyba sam Pan Bóg odwróci nieszczęście! Są zrzádenia Boże... Któż wie? może to wyjdzie na lepsze... W każdym razie ojcu Basi, choćby życiem nałożyć przyszło, krzywdy uczynić nie dam.

CHORAŻY. (*gędząc*) Co tam mruczysz, koniuszy Szczuko? he? Ja mruków nie lubię... Idź waszeć czekać swego protektora u prog... bo się z gniewu kością udławie, a właśnie szczukę *) też jem... i dosyć kiepska...

Scena V.

(*Słychać wrzawę i tentent koni za drzwiami, wołanie, krzyki, potem chód żywy... Drzwi się otwierają na roścież, RADZIWIŁŁ wchodzi, za nim dwór jego*.)

DYPLOWICZ. (*w kącie woła*) Jada! jada! przyjechali!

SZMUL. (*lata przestraszony szukając tacy, porywa ją, niesie ku drzwiom drżący... Choraży je, nieruszając się i nieoglądając*.)

BASIA (*z alkierza wygląda i woła*) Ojcie! Książę!!

CHORAŻY. (*odpowiadając jej*) Basia na górę i cicho siedzieć! Basia na górę i ani mi się rusz! Bądź spokojna tylko, Kurcewicz siekali, ale ich nie siekano... twardzi są... (*W czasie tej chwili zamieszania książę stoi we drzwiach i patrzy na Chorażego i Szmula*.)

SZMUL. A waj! co to będzie!

KSIAŻE. A to co? panie kochanku? Któż tu sobie pod tę porę tak poufaluł do mojej karczmy zajechał? Panie kochanku... jakby w domu...

SZMUL. (*zmieszany podając półmisek*) Jaśnie oświecony Księci Jegomości — uniżenie kłaniam... Jak słońców... jak bez słońców trawa... Jak królów Salomona i Dawida... a waj! wielki purym dla nas, kiedy Książę Jegomości nam swoim sługom... powraca... Vi-vat!!

KSIAŻE. (*klepiąc go po ramieniu*) Dziękuję, panie kochanku, za oracye, ani by Jezuita lepiej nie potrafił... a wolałbym, panie kochanku, karcznię bez oracyi byle niezajęta. (*Podchodzi z wolna do stołu i spogląda z góry na Chorażego, który je, wasy ściera, potem z wolna głowę podnosi i spogląda mu oko w oko*.)

KSIAŻE. Hm! Panie kochanku — Dzień dobry waszeci.

CHORAŻY. Hm, sto basałyków! dzień dobry asanu.

KSIAŻE. Nie zna mnie, panie kochanku, to zabawna rzecz... panie kochanku... Jak się zowiesz? możebyś poszedł sobie gdzieindziej jeść.

CHORAŻY. Do stu basałyków, dla czego?

KSIAŻE. Bo jabym tu jadł, panie kochanku...

CHORAŻY. Czy jegomość wiesz, że do szlachcica mówisz?

*) Szczuka po staropolsku Szczupak.

KSIAŻE. A kto u nas nie szlachcic, panie kochanku? Ale widzisz, panie kochanku, racya fizyka — choć ty jesteś szlachcic, to ja przecie jestem Radziwiłł, panie kochanku, wojewoda wileński.

CHORAŻY. (*Głowę podnosząc tylko, ale siedząc ciagle.*) A! to wy jesteście Radziwiłł panie Kochanku! No proszę! Nigdybym się tego był niespodziewał... gdzieś na peregrynacji brzucha stracił, czy co? Ale kiedy mnie zaszczylicie rekomendując się, słuszną bym się ja także wam odrekomentował. Jestem Książ Hrehory Koryatowicz Kurcewicz, Choraży lidzki, z rodu książąt litewskich...

KSIAŻE. (*stoi chwilę zamyślony*) Co? co? ho? ho? jakiego rodu?... Tereferę kuku, strzela baba z łuku! panie kochanku, witam Książa.

CHORAŻY. (*kłania się głową*) Ja też witam i kłaniam Księciu Wojewodzie.

KSIAŻE. (*Stoi, milczy, patrzy na swoich—Cisza.*) Hm! co panie Kochanku?

CHORAŻY. Nic do sto basałyków (*zajada.*)

KSIAŻE. (*do Wołodkowicza*) Co ty myślisz Wołodkowicz, czyby go kazać za drzwi wyrzucić, panie kochanku?

WOŁODKOWICZ. Ja sędzę, że on i sam wyjdzie.

KSIAŻE. (*pół głosem*) Gdzie tam, ja jego ze słuchu znam, panie kochanku! To ten waryat z Siennej Wulki... On ma ząb do mnie, a ja do niego... bośmy sobie psy gończe łapali i wieszali. Patrzajże Wołodkowicz, ledwie nogą na nieświeżką ziemię stąpił, zwierzyzna, panie kochanku, jest!

A ja panie kochanku, od tego ostatniego wypadku, gdy Księcia Murzynów w Tunis rozplatałem jak szczupaka na dwoje, nie mam najmniejszej ochoty do takiego polowania. Tak mnie czarną krwią obryzgał, że mi się odmyć nie mógł... (*myśli*) Gdyby go kazać upiec dla was na pieczyście?... Za chudy, panie kochanku, wy do tuczonych przywykli...

WOŁODKOWICZ. Same kości, mości Książę — my go nie będziemy jedli.

KSIAŻE. To dla psów, panie kochanku.

WOŁODKOWICZ. Niegłodne. No i mogłyby nasacizny dostać, bo on ma muchy w nosie. (*W ciągu tej rozmowy pół głosem, Choraży zajada z talerza nie oglądając się.*)

KSIAŻE. Ależ, panie kochanku, ja sam ustąpić nie mogę — to się tak nie skończy. Spróbuję — panie kochanku — łagodnie. (*zbliża się zwolna i opiera na stole.*)

KSIAŻE. Co tam, panie kochanku, słyhać w dobach Książa?

CHORAŻY. A co? lepiej niż w Nieświeżu — Księcia Radziwiłła kradną, a mnie nie, bo u mnie nie ma co kraść i obrazy Bożej niema.

KSIAŻE. (*do Wołodkowicza cicho*) Ściał mnie, panie kochanku. (*do Chorażego*) Asindziej, panie kochanku, dawno już w tych stronach?...

CHORAŻY. Nie tak bardzo.

KSIAŻE. Widać to, panie Kochanku, sąsiadów waszych nie znacie, a toć byście słyszeli, wiedzieli, panie kochanku, że żaden Radziwiłł w kaszę sobie płuć nie da.

CHORAŻY. (*spokojnie*) Już to prawda, że mi snadź nie dawno, kiedy mnie też Radziwiłł nie zna i bierze za

spokojnego pieska, co na dwóch łapkach służy, a ja jestem dzikie wilczyko!..

KSIAŻE. (*do Wołodkowicza*) Znów mnie ściał, panie Kochanku (*do Chorażego*). Widzisz Asindziej, Radziwiłłowie kury czubate... mówią o nich Rad-żywił, a nie powie nikt Rad-zjadł... bo cierpliwości braknie... i straszne gorączki... panie kochanku... jak im kto dopieczę?

CHORAŻY. To co?

KSIAŻE. Gotowi na wszystko — panie kochanku.

CHORAŻY. A Kurcewicz są takiego gniazda, że nie czekają, żeby im kto dopiekl, sami pieką.

KSIAŻE. (*do Wołodkowicza*) Niech go kaczkę zdepcą, panie kochanku. Szlachcic jak kamień, ani ugryść (*do Chorażego*). Pieką! pieką! ale mój panie, co Kurcewicz z Siennej Wulki może zrobić Radziwiłłowi na Nieświeżu?

CHORAŻY. A co Radziwiłł na Nieświeżu może zrobić Kurcewiczowi na Siennej Wulce?

KSIAŻE. Co? oto ja, panie kochanku, powiem ci. Jak mu rezon przyjdzie, może spędzić tłokę, Wulkę roznieść, zorać, solą posiać i... ani śladu, gdzie Kurcewicz się gnieździł.

CHORAŻY. Proszę! proszę! do stu basałyków... Wszak ci to wszystko może być, prawda!... ale ja wam powiem co potem. Radziwiłła pozwą o gwałt i rozbój przed trybunał, a że u nas są i poczciwi sędziowie, osądzą go na gardło. Toć to u nas ścinali i Senatorów, a powinowały wasz Zborowski skończył na pieńku...

KSIAŻE. Asindziej, panie kochanku, próbujesz mojej cierpliwości, ale już jej mało co jest.

CHORAŻY. Zdaje mi się, iż Książę żartujesz sobie z siebie albo ze mnie. No — z siebie Księciu wolno, ale ja uprzedzam, że żartów nie lubię (*odwraca się*).

KSIAŻE. (*do Wołodkowicza*) Co tu z nim robić, panie kochanku?

WOŁODKOWICZ. Dać mu tam pokój.

KSIAŻE. Nie mogę, panie kochanku — daj ty kurze grzędę... nie mogę. (*zbliża się z ręką na szablę*) Słyszysz asindziej — fora ze dwora! albo... panie kochanku...

CHORAŻY (*spokojnie zawsze*). Słyszysz Radziwiłł, w karczmie każdy pan. (*uderza po szablę*) Jeśli ci się zachciało bigosu...

KSIAŻE. Toć i ja mam siekacza, panie kochanku.

CHORAŻY. A no? to się spróbujemy, byle gra równa była... bo już cię we stu na jednego to rozbójnicza rzecz, nie Radziwiłłowska.

KSIAŻE. Panie kochanku, tego już nadto.

CHORAŻY. Ja też sędzę tak!

KSIAŻE. (*do swoich*) Tnie mnie i tnie... a asanowie mnie nie sukursujecie, panie kochanku... Co z nim robić?

WOŁODKOWICZ. Ale splunąć i porzucić... (*Na stronie do Chorażego*) Jedź waszmość bo się gubisz...

CHORAŻY. Jak się zgubię, waćpan mnie szukać nie będziez...

KSIAŻE. (*dobrywając szablę*) Ta sama jeszcze, com nią Księcia rozplatał...

CHORAŻY. (*dobrywając swoją*) Koryatowiczówka! pokaż co umiesz... (*składając się do pojedynku.*)

Przegląd literacki.

Dr. M. Haushofer: Lehr- und Handbuch der Statistik, in ihrer neuesten geschichtlichen Entwicklung. Wien 1872. str. 516. 8vo.

Wśród mnóstwa publikacji statystycznych, których głównym zdaje się celem napiętrzenie ogromnych zasobów cyfer bez systemu i ładu wewnętrznego—z przyjemnością bierze się do ręki książkę, systematycznie obmyślaną, dla której cyfra nie jest celem, lecz środkiem. Taką jest właśnie książka Haushofera, profesora ekonomii i statystyki w politechnicznej akademii w Monachium.

Autor zamierzył dać podręcznik dla tych, którzy zaznajomić się pragną z umiejętnymi wynikami statystyki w ostatnich czasach zdobytych—podręcznik zarówno dla uczących się, jak i dla ludzi praktycznego zawodu. Przedewszystkiem jednak osiągnięty został cel pierwszy—książka Haushofera nadaje się przeważnie jako dobry podręcznik naukowy.

Ażebym celowi temu odpowiedzieć, podał autor w pierwszej księdze historię i teorię statystyki. Pierwsza, wzbogacona obfitą bibliografią, wchodzi bardzo mało w krytykę tego, co dotychczas na tym polu działo, i w tym też kierunku nie może się równać z pracą Jonaka („Theorie der Statistik“) albo Kniesa, w których część krytyczna bardzo gruntownie jest opracowana—co jednak nie uszczupla wartości przedmiotowego przedstawienia rzeczy u Haushofera.

W części teoretycznej uległ autor pokusie postawienia nowego określenia pojęcia statystyki, która jak każda umiejętność pierwiej już rozwinęła się wszechstronnie, zanim doszła do zupełnie dokładnego określenia swej istoty i—co w tej właśnie umiejętności jest najważniejszym—swych granic. Mamy mnóstwo prac statystycznych, tak ogół nauki tej, jak i pojedyncze jej działy rozwijających—dobrej, niezachwianej definicyi niema dotąd. Nowa próba uczyniona przez Haushofera, tak jak i poprzednie—nie powiodła się. Słusznie on rozróżnia statystykę jako metodę, od statystyki jako umiejętności. Jako metoda jest statystyka według niego „systematycznym badaniem o masie zjawisk“ (systematische Massenforschung), co jest niedokładnem o tyle, iż pomija główną cechę odróżniającą metodę statystyczną od innych, t. j. iż bada ona przede-wszystkiem stosunki ilościowe. W ten sam błąd popada, dając następujące określenie: „Statystyka jest nauką o masie zjawisk, a szczególnie o masie zjawisk ludzkiego i państwowego ruchu i jego prawidłach.“ (Die

Wissenschaft von der Masse, und zwar insbesondere von der Masse der menschlichen und staatlichen Erscheinungen, von ihrer Bewegung, und den Gesetzen derselben.) Określenie to obejmuje za wiele, w ten sposób bowiem cała ekonomia i wszystkie przez nią wykazane prawidła społecznego ruchu należałyby do statystyki. Zresztą sam ze sobą popada w sprzeczność, gdy o kilka wierszów niżej powiada: „Statystyka jest jednak tylko umiejętnością pomocniczą“—powyższe bowiem określenie daje nam właśnie pojęcie umiejętności zupełnie samodzielnie badającej prawidła społecznego życia.

Sporu statystyków niemieckich z francuzkimi, z których pierwsi jako przedmiot badań statystycznych stawia państwo, drudzy zaś społeczeństwo—autor nie dotyka wcale, łącząc w powyżej przytoczonym określeniu obydwaj kierunki tak, jak się one w praktyce połączyły i uczyniły ów spór walką o słowa raczej a nie o samą rzeczy istotę. Ostatecznie bowiem Niemcy w pojęciu państwa obejmują toż samo, czem jest dla Francuzów społeczeństwo.

Bardzo grzecznie a treściwie są opracowane rozdziały o sposobie dokonywania badań statystycznych.

Dalej podaje autor statystykę ludności, gospodarstwa społecznego, życia politycznego i społecznego, wreszcie statystykę moralności. Trzyma się ściśle najlepszego, bo porównawczego systemu, jakim szedł Brachelli, a z którym rozmiął się zupełnie znakomity zresztą Kolb, pomimo, że dzieło swe nazwał „statystyką porównawczą“. Nie przechodzi bowiem Haushofer pojedynczych państw, kolejno dając statystykę każdego, jak to czyni Kolb—lecz przeciwnie, bierze pojedyncze zjawiska społecznego i państwowego życia, i zestawia odnoszące się do nich cyfry pojedynczych państw, wyprowadzając z nich statystyczne wnioski. Wielką zaś wartość pracy jego nadaje to, iż prawie wszędzie znajdujemy cyfry stosunkowe i procentowe, które jedynie są odpowiednie do czynienia porównań.

Jeżeli każdemu, kto się zajmuje statystyką ze względów czysto praktycznych zalecić można najbardziej wspomniane wyżej dzieło Kolba („Vergleichende Statistik“) —praca Haushofera śmiało zaleconą być może tym, którzy rozpoczynają umiejętne studia statystyczne, którym zatem mniej chodzi jeszcze o same cyfry, jak raczej o wdronienie się w system tej nauki i metodę prac statystycznych.

T. R.

KORRESPONDENCYE.

Paryż, 1. Lutego.

Trudne zadanie raczyła mi powierzyć redakcyja *Switu*. „Kreślić dokładny i ożywiony obraz ruchu naukowego, literackiego i artystycznego Francyi, a głównie Paryża“, i to jeszcze po klęskach, jakich byliśmy stroskanymi świadkami, znaczy tyle, co przedstawić w kalejdoskopie wszystkie mniej więcej gry i ruchy światła, wszystkie obrazy fantazyi, wszystkie odkrycia i zboczenia rozumu, wszystkie szale i wściekłości niemal ludzkości całej. Bo ludzkość słusznie czy niesłusznie wybrała sobie za stolicę, więcej powiem, za ognisko, owo ciasne, mętne i ciemne ale zawsze nawet na swych przeciwników czarujący wpływ wywierające miasto, któremu dotąd ani

bomby pruskie, ani zawiść niektórych Francuzów, ani krwawe a bezmyślne szaleństwa części własnych mieszkańców, aureoli sławy i geniuszu odebrać nie mogły.

Gdybym miał polityczną rolę Paryża ocenić, sąd mój byłby może surowym, a raczej musiałbym przypomnieć, że taka stolica z natury swojej kosmopolityczna, z najróżniejszych żywiołów złożona, a będąca przez tyle lat sercem i głową nie tylko Francyi, jak to ktoś za cesarstwa w izbie powiedział, ale co najmniej całej Europy, nie miała, nie mogła mieć tego czystego, bezinteresownego patryotyzmu, jakim się inne niektóre stolice odznaczają; będąc niejako zbiegowiskiem wszystkiego co myśli i działa, wszystkiego co posiada i używa, a z dru-

giej strony wszystkiego co cierpi i nienawidzi, musiała wzgardzić i wzgardziła całym światem a mianowicie resztą Francji, którą uważała za martwe ciało, krepujące jej zachcenia i dążności. Za tę dumę Paryż srogo odpokutował; bo kiedy Niemcy oreż zemsty wszystkich narodów za tyłowiekową pogardę nad nim zawiesili, Francja bez zapalu gotowała się ku jego obronie. Ale też, w samym sobie rozdzielony na dwa obozy, chwilowo sprzymierzone a nieufnem okiem na siebie poglądujące, stał się i musiał stać się polem walki tych dwóch wrogich sobie społeczeństw, z których jedno nie nie mające drugiemu wszystko by wyrwać chciało, wtenczas kiedy drugie wszystko posiadające żadnych ustępstw pierwszemu zrobić nie chce. Paryż, pod względem politycznym, jest tylko wulkanem, którego wybuchy czasem zbawienne, czasem też straszne, szkodliwe i zabijające, świat oświecają i przerażają a żadnej skutecznej i trwałej korzyści nie przynoszą.

Pod względem moralnym, trudno także wydać o Paryżu wyrok przychylny i łagodny: jest on ogniskiem zepsucia, jak jest ogniskiem cywilizacji. Wszystkie klasy równie zarażone, chociaż wzajemnie się oskarżają: egoistyczne i zmateryalizowane mieszczaństwo nie lepsze od wyrobników checiwych, a szukających pociechy swojej biedy w pijaństwie i rozpuście; Paryż republikański nie moralniejszy od Paryża monarchicznego. Nie rządowi przypisywać zresztą należy ten bezmiar zepsucia, który jest cechą wszystkich miast, liczących przeszło milion ludności.

Ale z tego zgangrenowania moralnego, z tego ściągania się opinii i stronnictw, wytryska jak żywy płomień, literatura ożywiona, dowcipna, pełna myśli, odbijająca wszystkie pojęcia, skupiająca i roztrzasaćca wszystkie zapatrywania, a rzucająca jaskrawe światło swoje na wszystkie kwestye socyalne i polityczne, naukowe i artystyczne. O tę tylko emanację, że tak powiem, Paryża nam tutaj idzie. Niech się u spodu kryją wszystkie nędzy, wszystkie zbrodnie, wszystkie nawet sprostności wielkiego miasta; my wyżej staniemy, a zamieszkując owe *templa serena*, o których mówi poeta łaciński, z pięknej tylko strony ocenimy ten mikrokosm, którym jest Paryż XIXgo wieku.

Literatura paryska rozpada się na mnóstwo działów, które przedewszystkiem określić i ocenić z góry nam wypada. Naprzód dziennikarstwo wojujące, które jest najwierniejszym zwierciadłem tego chaosu politycznego, społecznego i moralnego, o którym przed chwilą wspominaliśmy, a który na bezstronnym czytelniku sprawia to samo wrażenie, co krzyki nieszczęśliwych z domu obłąkanych, przerażające hr. Henryka w Nieboskiej Komedyi. Ten z krzyżem w ręku, ten z szalą kupiecką, ów z białą chorągwią, inny z czerwonym sztandarem, inny jeszcze z pochodnią pożarną, ogłaszają siebie za jedynych zbawców narodu, co mówię? ludzkości całej, i w ciągłych sprzeczkach, klótniach, z pianą na ustach lecą w przepaść z tym biednym, poddającym się szalonym opiece, narodem.

Obok dziennikarstwa, czyli w samem dziennikarstwie, powieściopisarze wyszukują także owe stronnice szale, lub owo zepsucie moralne, powiększają gorączkę chorobliwego miasta i podają zgłodniałym umysłowo niezdrową strawę lub napój otruwający, który rozrywa, śmieszy, ożywia na chwilę — ale powoli i nieodwrotnie pacjenta zabija.

Teatr nareszcie, z małymi wyjątkami, jest tylko dalszym ciągiem, dokończeniem tego zabójczego dzieła;

czy to są bezmyślne farsy z muzyką lub bez muzyki, czy też dramaty romantyczne, których bohaterami są mordercy i truciele. czy owe nowsze komedye, *à la Dumas fils*, których treścią jest wieczne cudzołóstwo a celem zrehabilitowanie bezwstydu, czy nareszcie obyczajowe obrazy *à la Sardou*, które nikogo nie poprawiają a wszystkich oswajają z zepsuciem swego czasu, wszystkie prawie dzieła dramatyczne, a szczególnie owe *feeries* pyszne dla oka, mile lechące wszystkie złe instynkta duszy ludzkiej, a rozumowi i sercu żadnego pożytku nie przynoszące — wszystkie, mówię, są ową trucizną, której w gorączce chory chciwie wymaga, sam nie wiedząc o tem, że się nią dobija.

Na szczęście jest inna jeszcze literatura, poważniejsza, zdrowsza, ale nie przynosząca dotąd ogółowi korzyści, bo nie jest wszystkim przystępną i nie umie sama zrobić się dla wszystkich zrozumiałą. Jest to literatura naukowa. Wszystkie gałęzie wiedzy ludzkiej, nauki moralne i filozoficzne, nauki ścisłe i fizyczne mają tu światłych swoich przedstawicieli, posiadających wszystkie zalety jasnego, pięknego, logicznego wykładu, ale tworzących jeszcze mimo godnych uznania usiłowań, rodzaj zamkniętego koła, do którego niewtajemniczeni wchodzić albo nie mogą, albo też nie mają odwagi. Z tych przeglądów naukowych i literackich, z tych kursów niby publicznych, a na które bardzo mała liczba słuchaczy uczęszcza, z tych konferencyi teraz rzadszych, ale które się z czasem pomnożą, wyciągnę wedle sił moich, co się da i będę się starał wykazywać, że w nauce jedynie i w pracy tak Francja jak i każdy inny podupadły naród znajdzie dźwignię do podniesienia się na nowo. Prawda stara jak świat, a od tak dawna właśnie, jak jest świat, zapoznawana przez wszystkich prawie i na każdym kroku.

Sztuka nareszcie, sztuka bezinteresowna, goniąca za pięknnością idealną i urzeczywistniająca ją czy na płótnie, czy w rzeźbie, czy w architekturze, sztuka też w zastosowaniach swoich przemysłowych i w ogóle utylitarnych, ma tu w Paryżu wielbicieli swoich i kapłanów swoich i świątynie swoje. Wystawy, na które ze wszystkich stron Francji i Europy składają się artyści najzdolniejsi, będą przedmiotem naszych studyów, a zobaczymy, że tam tylko gdzie sztuka, niezapominając o wyższym swoim celu uchwycenia i oddania ideału, wywołuje zarazem w sercach ludzkich wznioste uczucia, społeczne, religijne i patryotyczne, tam tylko jest nadzieja odrodzenia narodów i niezawodnego wskrzeszenia ich.

W przyszłym liście, zaczniemy ściśle i szczegółowo uiszczać się z naszego zadania. Dzisiaj chciałem tylko w kilku wstępnych słowach porozumieć się z moimi czytelnikami, uprzedzić ich o sposobie zapatrywania się mojego na ten ruch tak ważny i tak różnorodny, tak nęcający i tak mogący być niebezpiecznym dla tych, którzy fałszywych jego kierunków od zbawiennych rozróżnić by nie umieli. Chciałem ich tylko zapewnić, że we wszystkich rozmowach naszych o Paryżu i o objawach jego potężnego geniuszu, będę miał ciągle na widoku przyszłość i ocalenie Francji, która jest jeszcze ludzkości potrzebną, a z drugiej strony naukę, jaką my Polacy możemy wyciągnąć z rozsnuwających się przed oczyma naszymi obrazów i zdarzeń.

A więc do widzenia!...

W. G.

P R O M Y K I.

Emmerson porównał gdzieś piszącego z zawodu — do sekretarza... Jak ten spisując za zielonym stolikiem protokół rozpraw, wyteża uwagę, aby nie stracić ani jednego ich szczegółu i nie przerwać tem logicznego pasma myśli, tak i piszący w znaczeniu ogólnem baczyc musi na każdy ton tego wielkiego, chaotycznego koncertu, jaki się odgrywa w świecie czynów i w świecie idei. Wszystko się tam tak łączy, tak warunkuje nawzajem, że aby zrozumieć swój czas i powiązanie zdarzeń, potrzeba ciągle za puls trzymać chwilę bieżącą — nie z jej echa nie uronić, potrzeba spisywać wzorowy protokół... A nie chodzi tu o pedantyzm szkolarski, aby zestawiać ze sobą tylko fakta i sądy do jednej sfery wyobrażeń należące — życie jest mozaiką, wrażenia tłoczą się bez ładu — toż i te pogadanki, mające być odbłaskiem chwili, nie mogą mieć cechy systematycznej — będą sobie, jak wietrzniice, od przedmiotu skakały na przedmiot, od myśli biegly do myśli — tyle w ich powiązaniu będzie logiki, ile jest logiki w wypadkach życia...

A przecież jest ona w życiu, chociaż się tak często po za chaosem zdarzeń ukrywa... Tylko na wszystko trzeba patrzeć z pewnego oddalenia. Po Metzu i Sedanie zdawało się, że logika wzięta policzek; bo komużto mogło wpaść do głowy w pierwszej chwili, że Francję — tę świetną, tę wytworną Aspazję nowego świata — upokorzy szorstki, ponury landwerzysta z nad Sprei?... Francja stała się buduaem, którego woń upajała, którego ściany obwieszone były girlandami błyskotek. Na cackach i atlasach zasnął geniusz Francyi, a myśmy się łudzili, że to jeszcze ciągle naród Tureniuszów i Monteskich, kiedy on już był tylko parodią dawnej sławy, dawnych olbrzymów... Ta Francja, co przed dwoma wiekami miała jeszcze obok tronu — choćby taką Pompadour — nie zdobyła się w XIX stuleciu na godniejszy przedmiot monarszej czułości, jak Małgorzata Bellanger...

Wracając jednak do logiki, któż się mógł patrzeć na jej sztuczki bengalskie, na jej militarną grandezę bez złudzenia, że jest wielką? kto mógł być myślicielem tak głębokim, ażeby już przed kataklizmem r. 1870 przeczuł, że ten lud, którego opinie polityczne wyrabiają się na artykułach *Figara*, którego zmysł moralny kształci się na komediach młodego Dumasa, którego oczy wpatrują się w czarodziejstwa feeryi Offenbachowskich, że ten lud skarlat, spodlił się, wzniosłość zastąpił cynizmem, uczucie namiętnością, przekonanie frazesem, rozum płytkością, wiarę szyderstwem?... A przecież logika zrobiła swoje, i nim się kto z nas spostrzegł, pogruchotała tych, co nie uznawali jej powagi. Czy Francja jednak poznaje i dzisiaj przyczynę swego upadku?... Zdawałoby się — czytając list do współziomków Aleksandra Dumasa syna i mowę akademicką Juliusza Simona — że poznaje, czytając uczone wywody p. Emila Montegut i traktat polityczno-socyalny Ernesta-Rénana: „Reforme intellectuelle et morale en France“ — że nie... Bo na co tu utrudniać kwestyę, czemu się bawić w ideologa łudzącego samego siebie?... Głęboki Montegut i egzaltowany Rénan szukają przyczyn upadku... zgadnijcie!... aż w r. 1789! Dowodzi się tu więc patetycznie chociaż płytko, że demokratyczność zabiła Francję, że brak poczucia zdrowego monarchizmu, że przerwanie tradycji legitymistycznej, że usunięcie na drugi plan żywiołów konserwatywnych itd. itd. były tu żywiołami rozkładu i gangreny społecznej... Dobry Boże!... czy doprawdy Francja tak bardzo przy-

wykła do swych kawiarni bulwarowych, bezmyślnych teatrów, do rysunków Grévina i powieści Gaboriau, że nie powie sobie już nigdy: upadłam politycznie, bo upadłam obyczajowo... Muszę spoważnieć, po za upojeniem zmysłów i burliwością temperamentu muszę znaleźć inne poważniejsze motywa do życia... bo jeżeli nie, to nie wybawią mnie ani p. Thiers, ani p. Gambetta, ani Henryk V, ani Napoleon IV. A tylko się popatrzcie, jakim to tam rozkosznym i rozumnym widowiskom przygląda się po roku 1871 Paryż. Co to za lube płody muzy dramatycznej, na które gapi się lud francuzki — ten „Biały niedźwiedź“ („Boule de neige“), ten „Roi Carotte“ itd.?... Kiedy Dumas wystawił swe „Odwiedziny ślubne“ i „Księżniczkę Georges“, napisano, że publiczność była niezadowolona, że przyprawa była za silną nawet na smak tak już nieulegający podrażnieniu, jak u Paryżan?... Ale kłamstwo — „Księżniczka Georges“ napelnia co wieczór Gymnase już od dwóch miesięcy — publiczność z godną lepszych przedmiotów uwagą przygląda się, jak rozwiązuje przed nią swój problem społeczny jej zepsute dziecko — p. A. Dumas syn, jak w Odeonie p. Charles Edmond każe mężowi co wieczór dusić własną żonę na scenie — *à la Otello*, jak Boule de neige zamiata kudłami deski w *Bouffes parisiennes*?... Cóż kiedy panowie Montegut i Rénan nie bywają w teatrach i dlatego piszą, że Francję zgubiło skrzywione poczucie legitymizmu... Honny soit!..

Doprawdy inaczej w Niemczech. Życie tu z głębokich snuje się motywów, literatura i teatr sięgają wysoko po swe ideały... Wzrost nagły nikogo nie oszołomił, ale napelnił większą miłością ku wszystkiemu, co ojczyste, co przeszłe i wielkie... Ryszard Wagner w Beireucie wznawia helleńską tradycję świąt Olimpijskich, jak ongi w Grecyi do Delf i Koryntu, tak do Beireuthu gromadzić się będą z Północy i Południa Niemcy na uroczystość sztuki narodowej, na przedstawienia Wagnerowskich „Nibelungów.“ Nie boją się oni dać ogłuszyć fanfaron Wagnera, bo wiedzą, że z tych oryginalnych, ekscentrycznych dźwięków wyziera nowa forma opery, której rozwinięcie może być niespożyta chwałą dla twórczości ducha nie mieckiego... Może dziś u Wagnera wiele dziwactw, może szkoda melodyi, tak bezpowrotnie ztraconej w jego pomysłach muzycznych, ale przyznacie, że wieje z tych tonów głębokość myśli, siła plastyki, szczytność poezyi... Na przyszłą wiosnę, w nowym umyśle na ten cel zbudowanym teatrze, na ochrzczonej po imieniu mistrza Richardshöhe posłyszają Niemcy tę wielką trylogię Wagnera, której dał zbiorowy tytuł „Ring der Nibelungen.“ Co wieczora napelniać się będzie teatr 2.500 pielgrzymami z całych Niemiec... *Georges Dandin*?... Chciałeś porównania?... Oto jest — „le Roi Carotte“ i „Nibelungi.“

Reformatorski ruch czuć w Niemczech na każdym polu — Wagner reformuje muzykę, Döllinger i Zirngiebel powtarzają historię Lutra i Melanchtona. Ruch ten religijny pochłania dziś tak całą treść umysłów niemieckich, że odbija się prawie na każdym nawet płodzie najnowszej ich literatury... Sztuki ludowe Grubera „Pfarrer von Kirchfeld“ i „Meineidbauer“, Rudolfa Kneisla wyborny, nową i pełną życia myśl rozwijający dramat „Die Tochter Belials“, pomniejszych komedye obierają sobie za tło już ową krucyatę roz powszechniającą się coraz szerzej przeciw szkodliwym wpływom na społeczność zgangrenowanej części duchowieństwa...

A i my także mamy do zapisania cenne zdobycze. Akademia umiejętności w Krakowie pismem monarszem wreszcie zatwierdzona i uposażona. Otwartą jest droga ku stworzeniu nauki prawdziwie samorodnej, polskiej... Sądźmy, że nowa Akademia przyjmie w zakres swych poszukiwań wszystkie żywotne jej kwestye, nie uchylając się od rozbioru pytań natury drażliwej, ale powszechnego interesu. Spodziewamy się, że sala jej otwarta będzie wszelkiej dyskusyi, która ma w sobie jakikolwiek żywioł umiętny, chociażby opinie większości Akademików nie godziły się z podniesioną na polu nauki teorią... Spodziewamy się, że praca, rzetelna erudycya, zasługi około postępu myśli ludzkiej, znajdując zawsze uznanie w tych wysokich kołach, chociażby nawet rezultat poszukiwań przeprowadzić nas miał o boleść i utratę złudzeń... Sądźmy jednym słowem, że skandal, jaki zaszedł w Akademii paryskiej o p. Littré, nie powtórzy się nigdy w Akademii krakowskiej, a zkadinną tak czcigodny ks. Dupanloup nie znajdzie u nas plagiatora... Słusznie „Czas“ powiedział, że imiona hr. Alfreda Potockiego, ks. Jerzego Lubomirskiego i dr. Majera na zawsze związane będą z wzniosłą chwilą wejścia w życie tak wiele obiecującej instytucyi... Kraków spoważnieje teraz jeszcze bardziej, ale pocieszymy się, że kontrast pomiędzy Lwowem a miastem akademickim nie będzie znowu tak nazbyt potężnym, bo wyznać trzeba, że i Lwów także— poważnieje... Bez wątpienia jest w nim teraz mniej wrzawy, ale więcej pracy i skupienia umysłowego. P. Urbański nie znalazłby już dziś żywiołu do nowej edycyi „Tramtadratów“, albowy popełnił anachronizm... Spoważnienie widać na wszystkich twarzach i dobroczynna reakcyja uwidoma się

coraz wyraźniej; niedawni trybunowie ludu ironizują dziś sami z zamięłowaniem młodą historję swęj politycznej przeszłości...

Jeśteśmy wreszcie w przededniu chwili, kiedy i wzniosła Muza ocknie się do nowego życia w gmachu hr. Skarbka... Nie wiemy, kto otrzyma kierunek sceny, ale pomiędzy współubiegającymi się wymieniają imiona tak poważne, jak Stan. Koźmiana i Jana Królikowskiego... Wyścig powinien być rozegranym bez wątpienia pomiędzy tymi kandydatami. Towarzystwo akcyjne, wysłało delegata do Warszawy dla ostatecznego ułożenia kontraktu z p. Janem Królikowskim, jako artystycznym kierownikiem sceny, w razie jeżeli ono otrzyma dzierżawę teatru. Głębokie znanstwo estetyczne, wieloletnia rutyna i wspinały talent tego artysty zdają się w nim wskazywać przyszłego kierownika naszej sceny — na seryo rywalizować z nim może tylko p. Stanisław Koźmian. W każdym razie jasna przyszłość nam tu świta...

W Niedzielę (d. 4. b. m.) rozpoczął dr. Antoni Małecki w sali ratuszowej szereg odczytów publicznych na dochód ubogich. Mówił o runach słowiańskich i dowiódł, że wszystkie tychże okazy na t. bałwanach Prillwickskich i kamieniach Mikorzyńskich były fałszerstwem Niemca z XVIII wieku, Spornholza. Może mieli Słowianie pismo runiczne, ale do nas nie doszedł żaden ślad jego. Z właściwą sobie bystrością krytyczną, w wykładzie ożywionym i pełnym erudycyi wykazał prof. Małecki bezpodstawność dotychczasowych przypuszczeń, niwecząc tem wszystko, co o runach napisali tak gorąco Lelewel w swej „Czei bałwochwalczej dawnych Słowian“, Kollar, Kucharski i tylu innych...
Zet.

Wiadomości naukowe, literackie i artystyczne.

POEZJA. *Złote literki*, nowa książeczka dla dzieci przez Władysława Belzę, (z rycin). Lwów. Wild 1872. Na polu wydawnictw dla młodzieży położył p. Belza wielkie i powszechnie już uznane zasługi, posiada on dar szczególny podawania nauki we formie milej i zajmującej, wybornie do młodocianych umysłów zastosowanej. Taki charakter nosi jego pismo dla dzieci „Promyk“ i powyżej wspomniana publikacyja, którą gorąco polecamy.

ESTETYKA I LITERATURA. *Mintzloff dr. R. Litteraturgeschichte der Völker des Alterthums*. Leipzig 1872.

— *Lotheisen Ferd. Litteratur und Gesellschaft in Frankreich zur Zeit der Revolution 1789 — 1794. Zur Culturgeschichte des XVIII Jahrhunderts*. Wien 1872. Zajmujące studjum o wzajemnem oddziaływaniu na siebie literatury i urządzeń społecznych.

HISTORIA. *Hieronim Savonarola*, epizod z dziejów Florencyi opowiedział Klemens Kantecki. Poznań i Lwów. Richter. 1872. Obszerniej w przyszłym numerze.

— *Smitt H. Szkic historyczny dziejów 30-letniego panowania St. Augusta ostatniego króla polskiego*. Z 8 rysunkami J. Kossaka i W. Eljasza. Nakład A. Nowoleckiego. Kraków. 1872.

NAUKI SPOŁECZNE. *Dr. E. Dühring. Kritische Geschichte der Nationalökonomie und des Socialismus*. Berlin 1871. Rzecz głęboko krytyczna, cenniejsza od płytkiej ekonomii Blanquiego.

PEDAGOGIA. *Arnstadt Dr. F. A. François Rabelais und sein „Traité d'éducation“ mit besonderer Berücksichtigung der pädagogischen Grundsätze Montaigne's, Locke's und Rousseau's*. Leipzig 1872.

ODCZYTY. P. Franciszek Dobrowolski miał d. 2. b. m. w Poznaniu odczyt publiczny „o Ignacym Potockim“, mówiąc głównie o jego pracach w komisji edukacyjnej i udziale przy ułożeniu konstytucyi 3. Maja. — P. J. Zacharyasiewicz miał w Krakowie dwa odczyty „o idealizmie i realizmie“. — W Warszawie odbył się w Styczniu szereg odczytów publicznych P. Ochowicz mówił „O stosunku pracy fizycznej do umysłowej“, p. Niewiadomski „o ludziach przedhistorycznych“, p. Kamiński: „o stosunku poezyi do życia“, p. J. K. Gregorowicz „o uczuciu i myśli w obec postępu cywilizacyi“.

TEATR I SZTUKI PIĘKNE. Występy gościnne p. Lecha Nowakowskiego na scenie naszej obudzają coraz żywsze zajęcie. We środę (dnia 31gn z. m.) grał Karwackiego w znanej komedyi

J. Narzyskiego: „Epidemia.“ W pojęciu tej roli przez p. N. było mniej ciepła i barwy szlacheckiej, jak u lwowskiego jej przedstawiciela, a więcej natomiast szlachetnej mocy charakteru i godności. W chwilach uczuciowych gra p. N. wywoływała głębokie wzruszenie niemym a silnym wyrazem boleści, natomiast gdzie jej wybuchy należało oddać deklamacyą, raził szorstki i fałszywie-spiwny jej akcent. W środę (d. 7. b. m.) wystąpił znowu w popisowych rolach barona Rocheferrier („Partya pikiet“) i Fryd. Marsan („Poszukuje się nauczyciela“) i grał bez zarzutu. — Wkrótce odpisowaną będzie w lwowskiej o-erze niemieckiej „Hrabina“ Moniuszki; libretto przełożył A. Urbański. — Najbliższe nowości teatru poznańskiego są: „Mentor“ hr. Fredry syna, „Pół miliona“ Sabowskiego, „Hrabia Horn“ Weilena i „Baronowa“ pp. E. Foussier i Charles Edmond (Chojeckiego) w przekładzie Wł. Ordona.

— † *Bogumił Dawizon*, jeden z największych tragiców dzisiejszej chwili zmarł d. 1. b. m. w swej willi pod Dreznem. Urodzony 18. Maja 1818 r. w Warszawie młodość spędził w nędzy. Wcześniej poczuwszy w sobie zapal artystyczny wszedł do szkoły dramatycznej i już w r. 1837 wystąpił na scenie w komedyi Fredry: „Małż i żona.“ Grywał następnie w Wilnie i we Lwowie, wysoko tu ceniony przez hr. Skarbka. Wpływ znakomitych artystów niemieckich Julii Rettich i Löwego spowodował go do poświęcenia się sztuce niemieckiej. Holbein powołał go do Hamburga, gdzie talent D. zabłysnął w całej pełni; zaproszony w r. 1849 do teatru na'wornego w Wiedniu był uwielbianym przez tamtejszą publiczność, a nieporozumienia z hr. Lanckorońskim, intendentem teatru, spowodowały jego wyjazd do Drezn w r. 1854. Odtąd zaczyna się najświetniejszy okres jego życia i tryumfów artystycznych. Nieprzewyższonym był Ryszardem III, genialnie pojmował i grał rolę Jaga, Marka Antoniusza; cechą jego talentu była wszechstronność. W ostatniej swej podróży do Ameryki poczał cierpieć na rozmięczenie mózgu. Mówią, że gorączka sławy i pieniądze utrzymywała jego ustrój nerwowy w ciąglem rozdrażnieniu i sprowadziła wreszcie śmierć artysty.

ROZMAITOŚCI. Dr. *Henryk Gotlieb* ze Lwowa został mianowany za swą pracę o *Chazarach* członkiem honorowym Tow. orientalnego w Lipsku.

— † *Dr. Fryderyk Adolf Trendelenburg*, profesor filozofii w Berlinie i znakomity autor dzieła „*Naturrecht*“ umarł d. 24. bm.